

lecz nie jest dane powracać umarłym

Salvatore Quasimodo

Kiedyś wrócimy wypełnieni promieniami nocy, pajęczymi sieciami księżycowego światła szybującego w dal. Ach, jaka wściekłość, obłąd, szał, notoryczny krzyk, a przecież nocą tylko tulimy wspomnienia, kleimy się do ciepła, które pozostało po nich, gdy toczyli wraz z nami senne opowieści. Będziemy zatem iść na przedzie w tym pochodzie gwiazd, które swą wolą penetrują nocną przestrzeń, zimną, kamienistą, bezbrzeżną. Ech, bracie, nie ma się czego bać. Zbieraj swe kości i trać. Przebijaj błonę, ścianę, mur. Pędź dwieście na godzinę, potem coraz dalej skacz na dziko w tę mleczną drogę, w świat wirujących planet, w pył galaktyk i czarnych dziur, gdzie kiedyś dojdziemy, wpadniemy, wypełnimy je sobą, aby wreszcie znaleźć ukojenie w jej objęciach.

Mam mleko na twarzy. Piłem prosto z kartonu, ale zakrztusił się ktoś we mnie, ktoś od dawna nieobecny, kto idzie za mną krok w krok. Więc zacząłem się dusić i kaszleć, a mleko lało się dalej i ciekło po twarzy i szyi i brzuchu. Nigdy bym nie pomyślał jak wiele można nauczyć się od mleka. Ja też się wylewam i cieknę, ledwo stojąc na nogach, choć na dzień zostało już tak niewiele, a do wylania wystarczy jedynie kropla. Nie wiem jeszcze czy to, co wylane będzie wysychało, czy wyparuje od razu do gwiazd, zostawiając po sobie głąchą ciszę.

Coraz więcej czasu spędzam leżąc w łóżku. Bo sił mi już brakuje i chęci by wstać i robić cokolwiek. Za to z radością rozmyślam, przypominam sobie jej twarz, jej zapach, kolory skóry. Miałem od lat wrażenie, że wszystko wyreżyserowała, także własną śmierć. Zaplanowała życie w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko zmieniło się jednak kilka miesięcy temu, gdy po trzydziestu dwóch latach jakie minęły od jej śmierci nadeszła niespodziewana przesyłka, po którą musiałem sam iść na pocztę, a potem dźwigać to ciężkie pudło ulicami miasta, dysząc i sapiąc, aż wreszcie wyrósł przede mną jakiś młody chłopak i zlitował się nade mną zanosząc paczkę pod drzwi mojego domu, w którym zapewne niedługo mnie odnajdą na dywanie, gdy będę tulił w ramionach te zapisane papiery. Taki już zapewne mój los, być kimś zawsze spóźnionym, zawieruszonym i wypchniętym poza szczyt tej góry, na którą ciągną wszyscy, którzy łudzą się, że jeszcze coś dobrego może się w ich życiu wydarzyć.

W każdym razie muszę wam się przyznać, że niewiele pamiętam z tamtego dnia, poza tym, że od razu rozpoznałem jej pismo i przywarłem do niego nosem i ustami, i wachałem i lizałem i co nieco oszalałem w tamtej chwili jakbym znów był młodym chłopakiem cieszącym się z ukradkowego dotknięcia kobiecej piersi. To nawet nie było wzruszenie, raczej gorąca fala, która spowodowała, że moja szwankująca pamięć błyskawicznie przywołała ważne momenty tych nielicznych spotkań i naniosiła je na tę mapę, którą teraz sam kreślę najlepiej jak potrafię i zapisuję na niej wszystkie ukryte do niedawna znaki walki.

Dobrze się domyślasz co było w tym kartonie, który został do mnie wysłany nie wiadomo po co, choć wiadomo przez kogo. Ja już się żegnam i jedyna rzecz, o której jeszcze snię, to dobry odpoczynek pod białymi liliami. Tymczasem z pudła wysypały się setki małych karteczek zapisanych drobnym pismem, jej nerwowymi pociągnięciami długopisu. Jak się dowiedziałem z listu dołączonego do paczki, przesyłka nadeszła od jej umierającej młodszej siostry, która po latach od wypadku spełniła jej życzenie, aby zapiski zostały przekazane mnie. Nie wiem dlaczego zrobiła to dopiero teraz? Czy oskarżała mnie o jej załamanie nerwowe, a może przez lata nie potrafiła się rozstać z pamiętkami po siostrze? Te ulotne liściki, zapiski i szkice, spowodowały, że ostatnie miesiące mojego życia nabrały innego sensu. Uczyniły ze mnie detektywa od tropienia znaków przeszłości, pchnęły mnie ku spisywaniu tej historii. Robię to głównie dla siebie, wiedząc, że pozostanę prawdopodobnie jedynym czytelnikiem tego, co spisuję. Dzięki temu wyruszyłem raz jeszcze do wszystkich miejsc, w których z nią bywałem i które

zaważyły na moim życiu, tworząc w nim ukrytą wyrwę, która po długim czasie jawi się jednak jako wybawienie i szansę, którą dostałem od losu.

Po wielokrotnej lekturze jej odnalezionych zapisków jestem coraz bardziej przekonany, że drugi człowiek zawsze jest wyspą, którą trzeba w odpowiednim momencie w pośpiechu opuścić, jeśli chce się ją uchronić przed zatonięciem. Pozostaje nocna przestrzeń dzielona z kimś obcym. Jego tajemnica jest zaledwie jedną z wielu stacji, na których wysiadamy w pośpiechu z rozpędzonych pociągów. Liczą się jednak jedynie te chwile, gdy będąc z kimś w uścisku mroku i lśnienia, pogłębiamy swoje bycie w ciszy przez co staje się ono pełniejsze, bo pozostawione ślady ciągną się potem za nami, aż po kres.

Ale dość już słów. Głowa mi opada. Przeczuję, że to nie tylko zmęczenie. Jak to się dzieje, że człowiek zawsze wie, że nadchodzi zaćmienie. Niektórzy, jak Ona, nie chcą czekać na wybory losu i sami rozdają karty. Czytając sterty różowych karteczek, które zapisywała drobnym maczkiem, wiem, że rozmawiała ze mną językiem nieobecnych, zwracając się do mnie jak do kogoś, kogo sama stworzyła. Choć tak naprawdę byłem jej potrzebny jako smuga cienia, jako ktoś kto może symbolizować własną przeszłość i brak przyszłości.

W tym co pisała dostrzegam oceany piękna. Bo to, co urojone, zawsze pociąga najmocniej. Stąd tak wiele magii w tej poetyckiej litanii tego co traciła, w spisie traconych rzeczy, rejestrowanych na bieżąco, w momencie gdy człowiek pozbawia się ich sam, bo wie, że tak trzeba. Każda z karteczek to wyśniona planeta. Żywa istota w kształcie wiersza, lamentu, pourywanym zdań zakończonych ciszą. Pisała je dla mnie, nie wiem do dziś dlaczego mnie uczyniła adresatem i powiernikiem. Nie byliśmy nigdy parą. Nie zbudowaliśmy tratwy, którą przepłynęlibyśmy przez wzburzoną rzekę. Nie było miłości ani żaru. Być może poruszaliśmy w sobie jakieś sekretne struny głodu, tak koniecznego, aby nie zanurzyć się w ostatecznej rozpacz, co jej i tak nie pomogło, gdy tamtego dnia, uderzając w barierki, poszybowała ponad swym samochodem niczym oślepiiony słońcem ptak, który niespodziewanie uderza dziobem w drzewo rosnące na skarpie, drzewo zrzucające co roku swe nieśmiałe i niedojrzałe owoce gniewu.

W ciągu ostatnich tygodni czytając jej zapiski wielokrotnie zaczynałem płakać. Podobnie teraz, gdy czytam je po raz ostatni, żegnam się raczej ze sobą, niż z nią, wrzucając do pieca karteczkę po karteczce. Tak właśnie wymazuje się czyjeś biografie, które mogłyby zostać spisane, gdyby nie to, że ten, który może o tym zdecydować, niszczy wszelkie dowody na istnienie śladów bohatera, aby napisać własną wersję tej nieznannej rzeki. I pisze ją tak długo, aż opowieść nie pęknie mu w dłoni, a głowa nie eksploduje uderzającą w nią falą, po której wszystko się urywa i płynie dalej już ciche i nieme w poszukiwaniu jasnych linii biegnących w ciemności, skąd dochodzi muzyka i gwiazda spada w dłoń.

Dotąd nigdy nie pomyślał, że ciemność stanowi precyzyjnie skonstruowaną sieć. Geometryczną zagadkę podkreślającą tęsknotę za nieskończoną obecnością. Wiedział, że wszystkie teorie stają się bezradne, gdy trzeba skupić się na tym, co zostało utracone. Wówczas to czas wytycza granice i podejmuje za nas wszelkie decyzje bez uprzedniego zakorzenienia w ciągu logicznych zdarzeń. Przestrzeń rzadko kiedy naprawdę jest ciągła. W przestrzeni powstają słowa. Są milczące i nieme. Nie mają swego miejsca w żadnej przestrzeni i na żadnej mapie.

Spojrzał w górę. Pomyślał o naturze odległych planet, z których każda potrzebuje uporządkowanej struktury, aby wejść w bliską relację z kosmosem, z jego odbiciem, sennością, mistyką i samotnością. Pozostaje niewytyczona jeszcze droga, której nigdy nie pojmiemy, zwłaszcza wówczas gdy będziemy ją przemierzać. Choć ona jest konieczna i nie można jej umknąć. Przywraca utracone, błyskawicznie pokonuje dystans dzielący nas od tego gdzie jesteśmy, do tego w jaki sposób porzucamy nasze

wyobrażenia o sobie sprzed lat.

Wiedział, że wciąż pozostało mu wiele do udźwignięcia, wiele do napisania, do przejścia i do zdobycia, lecz nie wiadomo w jaki sposób i kiedy zmieniła się ta perspektywa, aż odkrył, że pod wielkim dachem nieba, podążając za liniami ciemności ciągnącymi go w mrok, niewiele już zostało. Pomieszały mu się porządki rzeczy i światów. Wyparł to wszystko, co było niegdyś ważne. Dostrzegł niezmienną niebieską kulę wkomponowaną w pustkę. Chciał za nią pobiec, pragnął złapać ją nim czmychnie przez wzbierający w przełyku kamień. Nie starał się już niczego kontrolować i niczego liczyć. Wypierał się, wyzbywał, wymazywał. Na koniec usiadł na ziemi, odchylił w tył głowę i pomknął wspinając się sprawnie po lśniących sznurkach i linach, jak gdyby przygotowywał się do tego całe życie.